



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 8-59-59

TRYBUNA LUDU

A

WARSZAWA, PL. STARYNKIEWICZA 7

wydanie.....

Nr 343 z dn. 11. XII. 65

TEATR

268

Lady Makbet gnieźnieńskiego powiatu

Juliusz Słowacki: „Balladyna”. Tragedia. Reżyseria: Władysław Krzemiński. Scenografia: Urszula Gogulska. Muzyka: Grażyna Bacewiczówna. Premiera na scenie Teatru Polskiego.

„Balladyna” jest najbardziej „szekspirowską” tragedią Słowackiego. Władysław Krzemiński otwierał ją więc szekspirowskim kluczem. Dał przedstawienie zwarte, logiczne, rozgrywające się na tle efektownej scenografii Urszuli Gogulskiej, prezentując bardzo obszernie tekst Słowackiego, łącznie z niegrywanym Epilogiem. Dysponując do roli głównej aktorką o tak zdecydowanej indywidualności, jak Nina Andrycz, poszedł Krzemiński zdecydowanie w kierunku makbetycznym. „Balladyna” w Teatrze Polskim jest więc czymś w rodzaju „Lady Makbet gnieźnieńskiego powiatu”. Ucierpiała na tym najbardziej poetycka, baśniowa część dramatu, której zabrakło lekkości i wdzięku. Było w niej więcej okrucieństwa rodem z niemieckich baśni Grimma, niż poezji Słowackiego, czy nawet elementów „Snu nocy letniej” Szekspira. Tu tekst został najbardziej okrojony, tu także Nina Andrycz, jako młodzianka Balladyna, była najmniej przekonująca.

Jaka. Zbyt wcześnie odsłaniała prawdziwy charakter zbrodniarki, pozbawiając się wszelkiej możliwości zaskoczenia widzów czynami swej bohaterki.

Ale i w tej baśniowej części przedstawienia są bardzo piękne i dobrze zagrane sceny. Jest to zasługa SEWERYNY BRONISZOW-
NY, wzruszającej w roli Matki, pięknie, wyraziście mówiącej wiersz Słowackiego, dysponującej dykcją, jakiej pozazdrościć by jej mogło wielu młodych, ALICJI PAWLICKIEJ, promiennej Aliny, jak również JOLANTY HANISZ, debiutującej w sposób udany rolą Goplany na stołecznej scenie. Lekko i wdzięcznie gra Skierkę, ślicznie wyglądającą w tej roli MARIA CIESIELSKA, dowcipnym, skrzekliwym Chochlikiem jest MARIANA GDOWSKA.

W ciekawym ujęciu Krzemińskiego postacią wiążącą świat baśniowy ze światem realnym — jest Grabiec. Ten ludowy medrek jest też może w „Balladynie” najbardziej oryginalna, najbardziej własna kreacja Słowackiego, a jego monolog na temat panowania i władzy — najdowcipniejszą częścią sztuki. Zdrowy rozum Grabca ma może coś wspólnego z postawą szekspirowskich błaznów,

ale jest to błazen bardzo polski i bardzo chłopski. Prawdziwą niespodziankę sprawił nam w tej roli Zygmunt Kestowicz, stając się chwilami bohaterem przedstawienia.

Do starej baśni należy właściwie także postać Pustelnika. Łączy ją przecież niejedno z Pustelnikiem z „Lilli Wenedy”. Ale tu Władysław Krzemiński przesunął interpretację w kierunku kroniki historycznej, co kazało WŁADYSŁAWOWI HAN-
CZY zagrać postać z dramatu walki o władzę. Nie bardzo się to sprawdziło. Znikła bowiem skutkiem tego baśniowość Pustelnika, a nade wszystko zatraciła się delikatna ironia Słowackiego, którą osnuta jest cała opowieść o koronie Popielów, igraszcze losu, zabawce Skierki, Chochlika i Goplany. Ładnie natomiast wywiązał się ze swego zadania WACŁAW SZKLARSKI, delikatnie ośmieszając postać Filona z XVIII-wiecznej sielanki, zawierając w niej także pastiche bajronowskiego bohatera, czy też płacziwej postaci z kręgu tak modnego w okresie romantycznym Osjana.

I wreszcie sprawa główna: tragedia Balladyny, dramat żądzy władzy, dążenie do jej zdobycia za wszelką cenę. Tu główny ciężar spoczywa na NINIE ANDRYCZ. Jeśli już z góry można było założyć, że w pierwszej części sztuki znajdzie się niezupełnie w swojej roli, to w tej części miała wszelkie możliwości, by wyjść zwycię-

sko z roli polskiej lady Makbet. Ma siłę, głos, władczość, które pozwalają jej całkowicie uprawdopodobnić postępowanie Balladyny, usuwającej zbrodniczo wszelkie przeszkody na jej drodze. Jej Balladyna jest przy tym chytra i przebiegła, zdobywając się nawet na wielokoduszne gesty, kiedy doszedłszy do tronu pragnie zakończyć i zamknąć okres zbrodni, rozpocząć okres sprawiedliwego panowania. Niestety gra jej jest nierówna. Ma momenty znakomite, szczególnie w scenie sądu w ostatnim akcie. Ale ma też momenty znacznie gorsze, szczególnie w scenie uczt weselej, chwile, w których nie potrafi zapanować nad swym rozsądzającym wszystkie konwencje temperamentem scenicznym jest nadmiernie egzaltowana, posługuje się środkami z przestarzałego już dziś arsenału ekspresji scenicznej. Mimo to może Nina Andrycz zaliczyć rolę Balladyny do swych najpoważniejszych kreacji i choć nie ze wszystkim można się tu zgodzić, jest z czym i o co się spierać.

Gorzej jest z jej partnerami. TA-
DRUSZ PLUCIŃSKI jest Fon Kostymem zbyt małego wymiaru, by mógł podjąć choćby przez chwilę walkę z Balladyną, jak równy z równą. Jest tylko „synem wisielca”, małym, chytrym rzezimieszkiem, by nie powiedzieć — cwaniakiem, który przybiera tylko pozę wielkiego mordercy i kandydata na udzielnego władcę. MACIEJ MACIEJEWSKI jest nazbyt już koturnowym Kirkorem z czytanelek dla grzecznych dzieci. Natomiast bardzo dobrze podaje relację o bitwie WŁADYSŁAW GŁĄBIK, przekonująco gra niewielką rolę

Gralona — CZESŁAW KALINOWSKI.

Bardzo ciekawym pomysłem reżysera było wprowadzenie Epilogu. Można tu co prawda spierać się ze scenografem, dlaczego wprowadził do ostatniej części sztuki rensansowe stroje, choć przecież „Balladyna” rozgrywa się w czasach prasko-wawelskich, dlaczego kronikarz Wawel nosi szaty Kadłubka, czy Długosza? Ale może było to świadomym zamierzeniem aluzji do historiografów, którzy tak bardzo zniekształcili naszą przeszłość, koloryzując ją i idealizując, co bardzo zgniewało buntowniczo i przekornego poete-niedowiarka. Jedno jest pewne: Epilog tłumaczy bardzo pięknie intencje Słowackiego, wyjaśnia wiele i stanowi filozoficzno-satyryczny komentarz autora. Piotr Pawłowski utrafił bardzo dobrze w ton Wawela, był refleksyjny, filozoficzny, potraktował też tę postać z lekką drwiną. I wszystko byłoby w porządku, gdyby Epilog nie zawiśł w próżni. Byłby on całkowicie na miejscu, gdyby całe przedstawienie potraktowane zostało bardziej ironicznie, gdyby więcej w nim było romantycznego sztylerstwa z przeszłości, a mniej romantycznej patetyki i pozy. Gdyby było bliższe Mussetowi i Alfredowi de Vigny, a nade wszystko Słowackiemu, niż Wiktorowi Hugo. Gdyby było w nim więcej owego ariostycznego tonu, o którym pisze Słowacki w znanym liście do Krasińskiego.

ROMAN SZYDŁOWSKI

TEATR

Lady Makbet gnieźnieńskiego powiatu

Juliusz Słowacki: „Balladyna”. Tragedia. Reżyseria: Władysław Krzemiński. Scenografia: Urszula Gogulska. Muzyka: Grazyna Bacewiczówna. Premiera na scenie Teatru Polskiego.

„Balladyna” jest najbardziej „szekspirowska” tragedia Słowackiego. Władysław Krzemiński otwierał ją więc szekspirowskim kluczem. Dał przedstawienie zwarte, logiczne, rozgrywające się na tle efektownej scenografii Urszuli Gogulskiej, prezentując bardzo obszernie tekst Słowackiego, łącznie z niegrywaniem Epilogiem. Dysponując do roli głównej aktorką o tak zdecydowanej indywidualności, jak Nina Andrycz, poszedł Krzemiński zdecydowanie w kierunku makbetycznym. „Balladyna” w Teatrze Polskim jest więc czymś w rodzaju „Lady Makbet gnieźnieńskiego powiatu”. Ucierpiała na tym najbardziej poetycka, baśniowa część dramatu, której zabrakło lekkości i wdzięku. Było w niej więcej okrucieństwa rodem z niemieckich baśni Grimma, niż poezji Słowackiego, czy nawet elementów „Snu nocy letniej” Szekspira. Tu tekst został najbardziej okrojony, tu także Nina Andrycz, jako młodzianka Balladyna, była najmniej przekonująca.

Jaka. Zbyt wcześnie odsłaniała prawdziwy charakter zbrodniarki, pozbawiając się wszelkiej możliwości zaskoczenia widzów czynami swej bohaterki.

Ale i w tej baśniowej części przedstawienia są bardzo piękne i dobrze zagrane sceny. Jest to zasługa SEWERYNY BRONISZOWY, wzruszającej w roli Matki, pięknie, wyraziście mówiącej wiersz Słowackiego, dysponującej dykcją, jakiej pozazdrościć by jej mogło wielu młodych, ALICJI PAWLICKIEJ, promiennej Aliny, jak również JOLANTY HANISZ, debiutującej w sposób udany rolą Goplany na stołecznej scenie. Lekko i wdzięcznie gra Skierkę, ślicznie wyglądającą w tej roli MARIA CIESIELSKA, dowcipnym, skrzekliwym Chochlikiem jest MARIANA GDOWSKA.

W ciekawym ujęciu Krzemińskiego postacią wiążącą świat baśniowy ze światem realnym — jest Grabiec. Ten ludowy mędrzek jest też może w „Balladynie” najbardziej oryginalna, najbardziej własna kreacja Słowackiego, a jego monolog na temat panowania i władzy — najdowcipniejszą częścią sztuki. Zdrowy rozum Grabca ma może coś wspólnego z postawą szekspirowskich białnow,

ale jest to białno bardzo polski i bardzo chłopski. Prawdziwa niespodziankę sprawił nam w tej roli Zygmunt Kęstowicz, stając się chwilami bohaterem przedstawienia.

Do starej baśni należy właściwie także postać Pustelnika. Łaczą ją przecież niejedno z Pustelnikiem z „Lili Wenedy”. Ale tu Władysław Krzemiński przesunął interpretację w kierunku kroniki historycznej, co kazało WŁADYSŁAWOWI HAN-CZY zagrać postać z dramatu walki o władzę. Nie bardzo się to sprawdziło. Znikła bowiem skutkiem tego baśniowość Pustelnika, a nade wszystko zatraciła się delikatna ironia Słowackiego, którą osnuta jest cała opowieść o koronie Popielów, igraszcze losu, zabawce Skierki, Chochlika i Goplany. Ładnie natomiast wywiązał się ze swego zadania WACEŁAW SZKLIARSKI, delikatnie ośmieszając postać Filona z XVIII-wiecznej sielanki, zawierając w niej także pastiche bajronowskiego bohatera, czy też płacziwej postaci z kręgu tak modnego w okresie romantycznym Osjana.

I wreszcie sprawa główna: tragedia Balladyny, dramat żądzy władzy, dążenie do jej zdobycia za wszelką cenę. Tu główny ciężar spoczywa na NINIE Andrycz. Jeśli już z góry można było założyć, że w pierwszej części sztuki znajdzie się niezupełnie w swojej roli, to w tej części miała wszelkie możliwości, by wyjść zwycię-

sko z roli polskiej lady Makbet. Ma siłę, głos, władczość, które pozwalają jej całkowicie uprawdopodobnić postępowanie Balladyny, usuwającej zbrodniczo wszelkie przeszkody na jej drodze. Jej Balladyna jest przy tym chytra i przebiegła, zdobywając się nawet na wielkoduszne gesty, kiedy doszedłszy do tronu pragnie zakończyć i zamknąć okres zbrodni, rozpocząć okres sprawiedliwego panowania. Niestety gra jej jest nierówna. Ma momenty znakomite, szczególnie w scenie sądu w ostatnim akcie. Ale ma też momenty znacznie gorsze, szczególnie w scenie uczty weselnej, chwile, w których nie potrafi zapanować nad swym rozsądzającym wszystkie konwencje temperamentem scenicznym jest nadmiernie egzaltowana, posługując się środkami z przestarzałego już dziś arsenału ekspresji scenicznej. Mimo to może Nina Andrycz zaliczyć rolę Balladyny do swych najpoważniejszych kreacji i choć nie ze wszystkim można się tu zgodzić, jest z czym i o co się spierać.

Gorzej jest z jej partnerami. TADEUSZ PLUCIŃSKI jest Fon Kostymem zbyt małego wymiaru, by mógł podjąć choćby przez chwilę walkę z Balladyną, jak równy z równą. Jest tylko „synem wisielca”, małym, chytrym rzezimieszkiem, by nie powiedzieć — cwaniakiem, który przybiera tylko pozę wielkiego mordercy i kandydata na udzielnego władcę. MACIEJ MACIEJEWSKI jest nazbyt już koturnowym Kirkorem z czytanelek dla grzecznych dzieci. Natomiast bardzo dobrze podaje relację o bitwie WŁADYSŁAW GŁĄBIK, przekonująco gra niewielką rolę

Gralona. — CZESŁAW KALINOWSKI.

Bardzo ciekawym pomysłem reżysera było wprowadzenie Epilogu. Można tu co prawda spierać się ze scenografem dlaczego wprowadził do ostatniej części sztuki rensansowe stroje, choć przecież „Balladyna” rozgrywa się w czasach praskiowskich, dlaczego kronikarz Wawel nosi szaty Kadłubka, czy Długosza? Ale może było to świadomym zamierzeniem aluzji do historiografów, którzy tak bardzo zniekształcili naszą przeszłość, koloryzując ją i idealizując, co bardzo zgniewało buntowniczego i przekornego poetę-niedowiarkę. Jedno jest pewne: Epilog tłumaczy bardzo pięknie intencje Słowackiego, wyjaśnia wiele i stanowi filozoficzno-satyryczny komentarz autora. Piotr Pawłowski utrafił bardzo dobrze w ton Wawela, był refleksyjny, filozoficzny, potraktował też tę postać z lekką drwiną. I wszystko byłoby w porządku, gdyby Epilog nie zawisł w próżni. Byłby on całkowicie na miejscu, gdyby całe przedstawienie potraktowane zostało bardziej ironicznie, gdyby więcej w nim było romantycznego sztyretwa z przeszłości, a mniej romantycznej patetyki i pozy. Gdyby było bliższe Mussetowi i Alfredowi de Vigny, a nade wszystko Słowackiemu, niż Wiktorowi Hugo. Gdyby było w nim więcej owego ariostycznego tonu, o którym pisze Słowacki w znanym liście do Krasińskiego.

ROMAN SZYDŁOWSKI